

LEONARD TURKOWSKI



Witkowski

gdy ŚRODA
rym Noda

Pam Doktorowi Janowi Piechockiemu
z wyrazami pozdrowienia

Leonard Turkowski

GDY ŚRODA

RYM PODA... Pz. 18. 4. 38.

*Tegoż autora
poezje:*

*„Krzyż na rozdrożu“
Poznań 1935 — Biblioteka „Wici Wlkp“ t. VIII.*

*„Krew ziemi“
Poznań 1937 — Księgarnia J. Dippel w Poznaniu.*

Okładkę i rysunki wykonał Witold Gawęcki

LEONARD TURKOWSKI

**GDY ŚRODA
RYM PODA...**

ŚRODA 1938

Drukiem i nakładem Drukarni Średzkiej, St. Malicki i Ska

nr. 15

GDY ŚRODA RYM PODA...

Piegami bruków okryta dziewczucha,
plant warkoczami spowita,
gmachów wyniosłe piersi wznosząca ku niebu
i kolegiatą, jak dłonią wzniesioną,
dotykająca boskiego ucha.

Co rano czesana i myta,
odkarmiona powszednim chlebem,
w sukni szaro—zielonej —
prosta, prowincjonalna dziewczucha.

Było ich w życiu wiele...
całunkami księżycowych nocy spamiętanych...
utrwalonych pieśczętą jesiennych spacerów...

...Rozpraszają się myśli opętane,
topnieją życia cele.
Włóczą serce tęsknoty
po świecie dalekim,
jak babie lato.
Lecz jedno wspomnienie wraca —
choć mówi się: cholera!
choć tnie się rozwagi batem
serce miłością kalekie.
Myślą skrzydlatą
dotyka się ust ziemi wilgotnej
i lubieżnie oddycha się z dali
dechem miasta drogiego.
Tęsknota pali.

Środa !...

Poniósł mnie pegaz do ukojenia mego.

Czy dzień jest słoneczny, czy słotny —
w zaułku nieba gdzieś staję
i patrzę w twe lica,
spowite wrześnie, czy grudniem, czy majem.
Chodzę rytmem wierszy po twoich ulicach
i rymem wiązę się z tobą, jak kwiatem.

Zaglądam w zakamarki wieków,
chodzę do przedmieść daleko,
rozwarów ludzi słucham
i pozdrawiam ich, szczęśliwych przyjaźnią twoją.
Warkocze plant twoich mnie koją,
modłę się wzniesioną dłonią twojej kolegiaty
i tobą całą.

Serdeczna, kochana dziewczucho!
dlaczego ciebie wybrałem?

KOLEGIATA

I.

Graniastostupem wieży garnie
do stóp swych domki rozrzucone mnogo;
krzyczy dachówek czerwoną pożogą
i mchów przyczepnych niepoprawnych darnią.

Panuje miastu wiekiem i urzędem,
krasą patyny, bogactwem zabytku;
najboleśniejse urbanizmu błędy
słodzi swych kształtów mądrością, pożytkiem.

Huczące gromy dzwonu z wieży wałą
falami grozy, melodią miłości:
brama się oto otwiera na oścież,
orszak Jagielły możną płynie falą.

Zstępujcie duchy! To godzina święta
czynu wielkiego, co raz tylko błyska.
...Cicho... Wspomnienia runą wnet na cmentarz,
życie się jasne trzeźwym wiewem wciska.

II.

Życie się jasne trzeźwym wiewem wciska
w mrok ciemnych stali i konfesjonałów;
w misternych żebrach sklepień okazałych
słońce snopami skier złocistych tryska.

Huczącej ciszy słodkie rittardando
pełza murami aż po chór wysoki;
krzyczy szkiełkami wenecki żyrandol,
śpiewa tęczowo polichromia okien.

Bogactwem barwy pysznią się ołtarze
i wszystko złoto bogactwem się pali.
W wielkim ołtarzu panuje wspaniale
Najświętsza Panna o najświętszej twarzy.

Tuż blisko, Chrystus Krwią kapie z wysoka.
Duch się sam korzy i na kamień klęka.:
już nic nie widzi załzawione oko,
w serce tchnie bólem Przenajświętsza Męka.

III.

W serce tchnie hólem Przenajświętsza Męka
i krzyżem kładzie się w oślepyra mózgu;
grzech własny sam tnie najstraszniejszą różgą
duszę, co pychą wzniosła się niepiękną.

Rozwal kościoła tego majestaty,
jeśli nie będzie w nas Twoich przykazań!
Miał się pokory bić najsroższym batem —
wolimy w brudach najlichszych się mazać.

Na cóż Ci złoto, Panie najbogatszy?
na cóż ten przepych Ci, o, najpiękniejszy?
jeżeli w sercach ni perły najmniejszej,
tylko czerń grzechu — cóż to wszystko znaczy!

Trzeba nam jasną wyzłocić się cnotą
i o posadzkę twardą stłuc kolana —
a miłym będzie Ci to wszystko złoto,
wspaniałość barwy i czar nienazwany.

RYNEK

(Tryptyk)

I.

Stoję na narożniku w gromadzie nudą ziejącej
tak jak tu przed stu laty stał zeszłowieczny lud
i patrzę, 'Srodo, w twe serce, pulsem patyny bijące
i czytam, 'Srodo, historię z kamieni — jak z nut.

Opadasz, jak z sukni szarej, z pękającego tynku,
wydzwaniasz w lśnieniach szyb godziny swoich lat,
podajesz oczom skromnie, na chropawej tacy rynku
dwóch rozmodlonych świątków, błogosławiących
świat.

I ukazuje się nagle — szukać jej wcale nie trzeba —
otacza ją pieśczośliwie drzew starych wspaniały pęk,
na samym prawie skraju jasnego kwadratu nieba
graniastostup wielkiej wieży, dzwoniącej chwały
dźwięk.

II.

Tyka nieba swą wieżą średzka Kolegiata,
wznosząca się tak dumnie na piętrach wieków wzwyż,
przywarta kamieniem do ziemi, lecz wzlotem w
niebiosa skrzydlata,
dźwigając na barkach murów słodki, radosny krzyż.

A u jej stóp warują wiernie, pilnie i cierpliwie
dwa senatorskie domki — stróże pamiętnych lat.
Pozostał z wieków minionych, z lat dawnych, hucz-
nych, gwarliwych,
biały, mały, zmurszały, krzyczący szczytami dach.

Stoję na narożniku w gromadzie nudą ziejącej
tak jak tu przed stu laty stał zeszłowieczny lud
i patrzę, 'Srodo, w twe serce, pulsem patyny bijące
i czytam, 'Srodo, historię z kamieni — jak z nut.

III.

Tu na fasadzie domu pamiętka mieszczańskiej chwały:
dzwoniących kiesą mieszczan, stary rodowy herb.
Tutaj kominek trzaskał i uczt rozgwary brzmiały,
gdy miastu słońce świeciło, czy lśnił księżycą sierp.

A obok na narożniku, gron winnych gęste kiście
w kamieniu na murze kute, urokiem kuszą swym.
Tutaj pośród radości, perliście i rzęsiście
tryskały z omszałych butli fontanny mieszczańskich
win.

Stoję na narożniku w gromadzie nudą ziejącej:
czyż w sądzie pisze się wyrok? w więzieniu czeka
kat?

— Do diabła! życie jest życiem! i zawsze świeci
słońce!

Hej, dalej, do środka, panowie! Na zdrowie! wi-
wat! sto lat!

DZIWIY NA RYNKU

Parskają konie, karoce turkocą,
chlastanie bicz w uszach strzyka.
Hej, na bok tłumy błękitno-czerwone !
w karocach delie się złocą —
Kasztelany zjechały,
starosty
i wojewoda sam ; z drogi umykać !
Dworzany, hajduki, laufry wystrojone,
potężne wzrostem,
że ino wytrzymać gały...
I pełno kolas, bryk, wozów —
gwar, krzyków kaskady,
brzęk karabeli.
Szlachta na sejm ! na obrady !
panowie na polityczny mozoł !

Rynek — jak pudło śledzi,
Kramarze,
śpiewkarze,
kuglarze —
gdzieś z końców świata zlecieli,
Od bab się nawet bieli...

Tłok ludzi w szynkach siedzi,
wiruje, kłębi się, huczy — zgmatwany.
Mieszczany tynfy zgarniają —
brzęk monet i szklanic —
na zdrowie !
niech żyją szlacheckie stany !

Wtem — dzwony — biją dzwony —
aż jęczy w głowie —
cicho organy grają...
Milknie na chwilę ludzki tłok zbity..

Zaczynają się w 'Srodzie ważyć losy Rzeczypospolitej !

ZAULKI

Gmatwają się w swej biedzie
pokracznie, krzywo, bezładnie :
pocziwi, niezaradni
rynkowych bogactw sąsiedzi.
Dmie wiatr po kocich łbach,
w zmurszałych wnękach się szasta —
wylała w planty, znajduje piach
i goni go wałami dookoła miasta.

CMENTARZ POWSTAŃCÓW

Jesień kwiatów jesiennych powodzią
w kupach liści w barwnej sukni chodzi.

Czy dziś we mnie życia jeszcze stanie ?
bo na grobach śmierć śmiercią pogania.

Kości trupich towarzystwo bratnie
zmartwychwstaje do śmierci ostatniej.

Ziemia tuli życiem świętej śmierci, —
Których dla niej popekały serca.

Bierze w żywioł wilgotnej otchłani
tych, co łona rozpruwali dla niej.

Tam gdzie pierwsza wsiąknęła krwi kropla
poszły ciała i duchy samotne.

Jednym celem miłości — złączenie :
trzeba było obrócić się w ziemię.

Trzeba było na grób swój zasłużyć :
serce swoje w pług rodny rozplużyć.

Wydać owoc dojrzały czerwonią —
potem w ziemię się czarną zamienić.

JESIEŃ W PLANTACH

Zaczyna się to za cmentarzem
od Moskawy:
wiednącą trawą
pachnie niebo, rozwarte jesiennym wiatrem,
słońce darzy
ostatkami letowej watry, —
młode drzewka
pod dowództwem wierzby na wzgórkach,
niby wojsko równane pod sznurkiem
maszerują —
chęć słońca
chęć słońca —
idą, idą, bo sens swój w tym czują —
idą prostym, trudzącym szpalerem —
przecież młode i gibkie i krewkie — —
trzeba życiem się spełnić do końca,
nie w ramionach jesieni umierać.

— Cicho...

bezruch panuje bezwietrzny —
dwa wiatraki stanęły na straży.
Drzewka trwają w swym żalu serdecznym.
Idziesz dalej
błotną drogą tuż popod cmentarzem,
co groźniejszym jeszcze zionie żalem.

Trochę w lewo —
z drzew i krzewów
Kasprowicza duch zjawia się smutny.
Urok liści żywych
z koron rozrostłych
jesień zdziera bezwzględna, okrutna.
Na nic zdała się fatyga wiosny
i słońca miód prawdziwy.
Suną tylko łabędzie po stawie:
wypatrują gości na ławie —
nie znajdują ;
więc odpływają, napuszywszy szaty
i snują
łabędzi śpiew lata.

Z drugiej strony miasta znów to samo.
Grusze sękaty,
postradawszy już plon żywota —
owoc słodki, soczysty —
tulą się w powietrzu mglistym,
tracąc szatę listowia, co złata
niepotrzebnym, wzgardzonym pomiotem.
Od gimnazjalnej bramy
ciągną się szpalerem drzewa stare
popod niebem matowym i szarym.
Późną nocą, gdy Środa już we śnie,
lub o świcie, najwcześniej, najwcześniej,
— wstaje cicho Ksiądz Kegel z pomnika.
Błogosławi trawom,
krzewom
i drzewom —
że w powietrzu aż jaśniej,
radośniej.
Słowików muzyka,
ptactwa wszystkiego wrzawa,
kwitną grusze różowo, —
wszystko żyje na nowo
— wstaje wiosna, wiosna, wiosna.
— — — — —
Kiedy ludzie znów wstają do życia —
mgła najcięższa po świcie się niesie,
liście spada na martwe ulice :
przecież jesień — — —



WIECZÓR w miasteczku

Miasteczka wieczór bezludny
określę słowem: nic.
Wieczór jest suchy, nudny,
jak odpiekany wic.

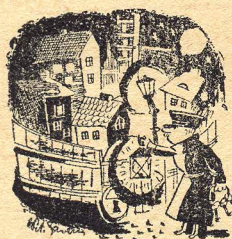
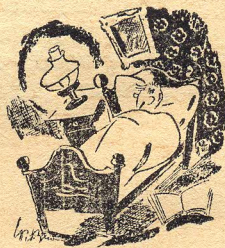


Na 115 skobli
zamknęła się miejska brać.
Co tutaj z nudów robić?
Trza się położyć spać.

A zresztą, cóż mi trzeba?
Wieczór jest długi, jak rów:
aniołom świętym z nieba
ukradnę spokój snów.

Położę się do łóżka,
jak zniewieściały paż.
Może mi puch poduszki
opowie złotą baśń...

Może w tę ciemność nocną
sen włoży jakiś mit —
jakaś legendę, wzniosłą,
jak wieży kościelnej szczyt...



Cisza, namiętne, z mocą,
potulny ściska cień.
Na niebie strzela, jak z procy,
stek białych, nieśmiałych łśnień.

Księżyc się mlekiem zabarwił
w bieli puszystych chmur.
Z jedyną w ulicy latarnią
niegrzeczny wiedzie spór.

Aż domy rozespiane
gorszą się kłótnią tą.
W mig gasną senne okna
i cicho w strachu drżą.

A może kościół (o, Boże!
tóż to jest wielka rzecz)
obalił się ze zgrozy,
jak cztery wieki wstecz..

A może (jak niedawno)
z więzienia murów złych
zbiegł bandyta sławny,
aby pogodzić ich...

A może w takiej chwili,
gdy w mieście szerzy się złość,
wyjdzie z ratusza — swej willi
pan burmistrz — jego mość...

A może... — Bajdy głupie!
Napewno poszedł już spać
jaśnie wielmożny pan kupiec
ze swoim wiecznym: psiamać!

... Poziewa ściana troszeczkę...

...i sufit kiwa się...

— Gdzie jestem?... aha! w miasteczku.

Co robię?... aha! śpię.



ULICA DĄBROWSKIEGO

Promenady,
defilady,
rewie, randki — giełda życia ;
wtył zwrot ! — z rogu aż do rogu —
chwała Bogu !
wreszcie przyszła panna Kicia.

Stasia jakoś dziś nie widzieć :
nie przychodzi do tej pory ;
pewnie chory ?
może nawet umarł brzydal ?

Dobry wieczór, panno Franiu !
jak się wiedzie po maturze ?

Ktoś tam oknem patrzy w górze...

Antek nie był dziś na chórze...

— Co tam słyszać znów w Poznaniu ?

„Kurier Średzki”

(Satyra aktualna)

Trrrrrrrrrrrrrrrrrr...

— Hallo!? Tu Malicki. Hallo!

— Słucham. Kto?

— Malicki — no! więc co?

— A niech cię w piekle spalą!

— Nie rozumiem.

— Więc pisz pan: m — jak mumię...

a — jak arbuz...

— Arbuz? tu nie ma targu.

Kto mówi?

— Malicki. Weź pan „Kuriera“,
a znajdziesz moje nazwisko.

— To wszystko?

— Niech pana jasna cholera!

— Zaraz... na pierwszej stronie

wycinki z cudzych gazet.

O! jeszcze to:

Oszczędzaj w K. K. O.!

Oto jest wszystko razem.

Na drugiej stronie się mieści

odcinek nudnej powieści

i kawał felietonika:

Gomolec, Szyperski, Pomykaj...

To pan jest którym z nich?

— Nie! Jedź pan w opiece boskiej

w kolejce nazwisk tych.

— W powiatowej kolejce? czy — panie! Kolei...

Nic tu się nam nie klei.

Zaraz... jest wiersz. Turkowski...

— 'Swiństwo. Już pegaz wziął w łeb.

— Toś kiep.

— A może nawet nie.

Dalej — to nie tak źle:

wiadomości bieżące,

co zaszło przed miesiącem...

— Panie, bo rzucę słuchawkę!

— Co? masz pan czkawkę?

podzielam pańską niedolę.

— Niech pan przewróci stronę.

Na czwartej stronie na dole
znajdziesz pan mnie.
— O! tego tylko chcę!
Hotel, wina, koniaki — ceny słone...
Kup parcelę...
Ktoś umarł sobie w niedzielę...
— Do diabła! zupełnie na dole!
Malicki! M — jak mole,
a — jak Adam,
l — jak lud...
— Cóż pan tam gada?
— I — jak idylla,
c — jak cud,
k — jak kwit albo kit...
— Zaraz!... Malutka chwila...
Hallo! Po mojej stronie przyjemność.
Już wiem. Rozmawia ze mną
pan Telesfor Schmidt!
Hallo! hallo! przerwano! tego nie znoszę!
poczta? z „Kurierem 'Sredzkim“ proszę...

podśluchał LEONARD TURKOWSKI

CUKROWNIA HUCZY

Warkot, szum, rumot,
śruby, krany,
tłoki szumią,
dudnią ściany —
pean
siły, ważkości czynu,
wielkości sekund, ciągłości minut...
Prężą się mięśnie, ciekną potem —
upał zabija sił upartości...
przewiewów ciarki...
tętnice biją równym młotem...
W myśli rozkwita pracy wartość,
Kroplami splywa czarnym karkiem.
W wielkich jako te hale dniach
uporać trzeba się z swym tworem.
Paruje, syczy, szumi sok,
pach, pach, pach —
chodzi tłok,
warczą, warczą motory.
Bulgocze i brzmi spławni długi potok
buraków ciągłym i ciągłym dopływem.
Przyjmują je z rumotem, stukotem
maszyny, wysiłkiem szczęśliwe.

Grzmi wielka waga :
dużo — więcej — jeszcze —
chichoczą nagie
krajalnic srogie kleszcze.
Szaleje słodki sok,
szaleje w soczystych łzach,
przepływa, splywa, uchodzi, dochodzi,
zapachem nozdrza słodzi.
Chodzi tłok :
pach, pach, pach —
warczą, warczą motory...
Tablice, kontakty, pędnie, pasy —
wytłoki, błota, cukrzyce, melasy...
Gęstnieje sok
w błotny piach.
Huczają piece w kominów otwory,
prażą, palą upałem piekieł,

gęstnieje sok czerwony ogniem
ścieka, docieka, ucieka
płynną, ognistą pochodnią.
Wpada syczącym zalewem
do kotłów o przepastnych dnach,
w błotniarek chłonne przestrzenie.
Huczy rozgardiasz tworzenia,
dumnego dzieł swoich śpiewem.
Wytłoki, błota, cukrzyce, melasy —
tablice, kontakty, pędnie, pasy,
paruje, syczy, szumi sok,
pach, pach, pach —
chodzi tłok,
warczą, warczą motory.
Gęstnieje sok
w błotny piach.
Wirownie, ogrzewacze, skrzynie,
warniki, mieszała, wirówki —
przyrządów swarliwe spary —
roją się ludzie-mrówki,
dziełem wspaniali,
nerwy fabrycznej hali,
duszę mieszczący w mięśni czynie.

Aż wreszcie gdzieś na końcu
ktoś worki zszywa w falbanki, jak bukiet.
A potem świeci słońce :
wiozą w wagonach cukier !

*

Cukrownia huczy.

Kominy ogoniaste żgają niebo dumnie.
Drżą place i budynki grzmiąco, żywo, szumnie.
Roją się ludzie-mrówki : armia twórczej woli.

Cukrownia huczy :
smugami dymu wieńczy owoc średzkiej roli.

WYCIECZKA DO ZANIEMYŚLA

Od dworca z uśmiechem przez rynek
tanecznie, słonecznie, bajecznie —
ulicą sprzed wieków — stój, kościół! —
Do dębów, co szumią odwiecznie,

do jezior, marzących jak oczy,
do lasów — rzesz ciemnych wokóło,
hej, na dół, tanecznie, słonecznie,
zadumnie, serdecznie, wesoło!

Na promie, pomiędzy niebami:
u góry i w lustrze na wodzie —
do wyspy, na której ledz można
w spokoju i w ciszy i w chłodzie.

Wspomnienia, historia, przedwiecze —
i wkrótce przedwiecza już kraniec:
słonecznie, serdecznie, bajecznie,
z muzyką puszczaemy się w taniec.

Żegnamy wnet domek czwajcarski,
żegnamy wnet cienie Edwarda.
Już pruje niebios a te wodne
łódź chyża, czupurna i harda.

A potem do brzegów dobiwszy,
tanecznie, słonecznie, bajecznie —
idziemy wśród lasu, wśród lasu,
do dębów co szumią odwiecznie.

Aż wreszcie niebios a pogasły.
Skraj lasu. Gwiazd orgia. Pogoda.
Znów kolej. Czerń dali. Stacyjki:
Polwica... Śnieciska i Środa.

PERYFERJE

Wydarte żytom i pszenicom
skrawki ziemi, pocięte, jak papier:
parcele.

Już dziś w nowe, piaszczyste ulice
słońce na wiosnę strzela,
a jesienią dziatwa się w błocie chlapię.

Zamiast żyta, zasiano cegły.
Miast kosiarzy — murarze przychodzą.
Odleciały skowronki
i zające odbiegły —
bo i ludzie znękani, ubodzy,
tęsknią do swych gniazd — rodzinnych domków.

Rozprzestrzenia się 'Sroda czule,
aby dzieci rodzone przytulić.

„ABISYNIA“

Ulew ludzkiej niedoli,
przez sito losu spławionej
z błękitnych życia fal:
Kłuje kłatwą, co boli,
niebo zamglone —
jak kolczasty pal.

Gdyby tu nawet był grzech
i nawet bunt przeciw niebom —
przecież utuli tę biedę
Boży dech.

Bo patrz :
w tych człowieczych norach,
na tych społecznych ugorach,
w zaduchu, nozdrza wiercącym,
najjaśniej świeci słońce,
najbardziej przecież złote,
najlepsze i najlaskawsze,
i najobfitszy jest zawsze
w słotę
aniołów płacz.

DWORZEC

Czerwony domek w drzew bukiecie,
sztachety, pompa z klapką „woda“,
pissoir drewniane, dach peronu
i te pięć liter : Ś-r-o-d-a.

Pociąg, wołanie, parę osób,
kontroler, pojazd, poszum drzewa —
i wnet pieśczoła łask spokoju,
tak jak w Kostrzynie, Wrześni, Pniewach...

Ktoś kiwa chustką, pociąg rusza,
szum pary, rumot — cisza płynie.
I już zamarcie rojnych światów,
tak jak w Łowiczu albo Pszczynie...

Lecz lżej ci serce zatrzepece
i kasztan strumień wiewu poda,
gdy się odwrócisz i przeczytasz
znów te pięć liter : Ś-r-o-d-a.

ULICA WRZESIŃSKA

Ulica moich pustelni.
Któż co wie o tem ?
Był, żył i pisał wiersze.
Pił wódkę około soboty.

Mieszkał raz tu, pod szóstym,
raz pod dwudziestym trzecim.
Czasami z książką w plantach
patrzył, jak bawią się dzieci.

ZRÓWNANIE KONTA

Nie robi się nic za darmo.
Za darmo się wierszy nie pisze.
Zapłacicie mi za te wiersze
ciszą.

Temat rodzi się, jak wszystko, z miłości.
Radość tworzenia jest aż zbytnią zapłatą.
Już płacicie mi za wiersz każdy
tematem.

Obdarzyła mnie 'Sroda sobą,
więc obdarzam ją wszystkim: sercem.
Czar miłości mej skromnej zamykam
w wiersze.

Wiersze szczerze, proste, ach, miłosne!
same w myśli się kładą i piszą.
Zapłacicie mi za te wiersze
ciszą.

Spis rzeczy:

	str.
Gdy Środa rym poda	5
Kolegiata	7
Rynek	9
Dziwy na rynku	11
Zaułki	12
Cmentarz powstańców	13
Jesień w plantach	14
Wieczór w miasteczku	16
Ulica Dąbrowskiego	18
Kurier Średzki	19
Cukrownia huczy	21
Wycieczka do Zaniemyśla	23
Peryferie	24
„Abisynia“	25
Dworzec	26
Ulica Wrzesińska	27
Wyrównanie konta	28

